

Macierz Polska.

Tygodnik illustrowany dla dzieci i młodzieży

NR. 26.

CHICAGO, 28-go CZERWCA (JUNE 28-th), 1907.

ROK (Year) VIII

ENTERED AT CHICAGO, ILL., POST OFFICE AS SECOND CLASS MATTER



NASZ JEGOMOŚĆ.

Polowanie na bawoły.

(Henryk Sienkiewicz.)

(Ciąg dalszy).

Co do młodego niedźwiadka, mieliśmy potem z niego źródło nieustającej zabawy. Przywiązano go na dość długim łańcuchu do ostatniego wozu, na który wdrapywał się na każdym przystanku. Było to stworzenie może trzy lub czteromiesięczne, dosyć już duże, ale jeszcze nie niebezpieczne. Z początku dziczył się strasznie; gdy ktoś zbliżał się do niego, powstawał na tylne łapy i mruczał groźnie. Stopniowo jednakże zaczął się przyzwyczajać, zwłaszcza, że karmiono go obficie, i nikt nie robił mu krzywdy. Dawaliśmy mu wszystkie resztki od brekfestów i lunchów, rozprowadzone ciepłą wodą. Gdy przyniesiono mu dużą miskę blaszaną, przedewszystkiem kładł w nią łapę, obróconą podeszwą do góry, i dopiero jadł z łapy, jakoby ssąc z niej i mruczając przytem bardzo głośno. Z psami, których wlokło się kilku za obozem, żył w ustawicznej wojnie. Z początku bał się ich i zmykał przed nimi na dach wozu, potem, gdy który się zbliżał, pawstawał i, rozłożywszy przednie łapy, czekał w bardzo zabawnej postawie, jakoby pragnąc przyjąć psa w objęcia. Gdy go opadło kilku, zmykał na wóz, i siadłszy na dachu, drażnił się z psami, wysadzając głowę, wodząc za nimi swemi skośnemi oczkami i poglądając na nie z góry z bardzo pogardliwą miną, jakby chciał mówić: „a teraz, dajcie mi buzi!” W czasie pochodu, siedł zwykle truchcikiem za wozem, czasem jednak opierał się bezzadnej widocznej przyczyny i poczynął beczeć w niebogłosy. Gdy ktoś z jadących w tyle zbliżył się i poganiał go lassem, wówczas beknąwszy gniewnie, zasunął się pod wóz i siedł dalej spokojnie. Beczał także przeraźliwie później, gdy zbliżała się godzina, w której dostawał jeść, lub na widok człowieka idącego z miską.

W miarę, jak posuwaliśmy się naprzód, szczyty Sweet Water Mts., stawały się znów wyższe i wyższe; kanion zaś, jakkolwiek coraz węższy, ale i coraz lesistszy. Szczególniej boczne kaniony i przerwy między pojedynczemi szczytami obfitowały w bujną roślinność. Trafialiśmy często na wąwozy, pokryte krzakami czarnego agrestu, którego owocem nieopadłym jeszcze, a smacznym i zdrowym raczyliśmy się obficie. W rozpadlinach skał znajdowaliśmy maliny, pozbawione już owocu, ale rosnące nadzwyczaj bujnie. Czasem trafiły się drzewa dzikich śliw, które przewodnicy nazywali „czerwonymi śliwami”. Co do innych drzew, stanowiły one teraz miejscami prawdziwe i trudne do przebycia lasy, nie widziałem jednak nigdzie lasów, złożonych z drzew jednogatunkowych. Najczęściej stanowiły

one wspaniałą mieszaninę norweskich sosen, zwanych także „ciężkimi”, albo „żelaznemi” sosnami, dalej: jodeł, bukszpanów, dębów, wiązów, jesionów dzikiej morwy i białej brzeziny, której rozplecione warkocze przypominały mi polskie lasy. Niektóre z kanionów piękną dorównywały kalifornijskim, mniej były tylko ożywione, albowiem ptaków brakło zawsze. Czasem jednak, pod sklepieniem niebieskiem ważyły się na rozpostartych, nieruchomych skrzydłach wielkie orły, upatrujące zapewne piesków ziemnych, albo małych antylop. Wszystko to było dzikie, romantyczne, szczerze, zdrowe, i piękne, jak tylko pierwotna natura piękną być może. Na koniu, z karabinem pod ręką, czasem samotny w stepie i w górach, czasem w gwarnej i wesołej towarzystwie, czułem się, jak owe wielkie ptaki na niebie — swobodnym. Pogoda stawała się coraz pikniejszą. Był to ostatni, ale pełen niewypowiedzianej słodyczy uśmiech jesieni. Porę tę nazywają u nas babiem latem, a tu: latem indyjskim — „indian summer”. Gdym czasem zabłądził w jakim dzikim parku, w którym piramidy drzew grupowały się, jakby ręką ludzką ułożone, zdawało mi się, że jestem w polskim ogrodzie. Tak samo i tu, wielkie rozczapierzone liście, odrywając się bez szelestu od drzew i kołysząc się lekko, spływały na ziemię; ten sam tu jakiś smutek i łagodna rzewność, rozlane w powietrze, toż samo jakieś „pamiętaj”, szeptane smutno przez drzewa, przez zbladłe promienie słoneczne i wędnące kwiaty. Brakło tylko jeszcze owej piosenki którą czytałem, czym słyszał — nie wiem — jeżeli nie chłopskiej, to na chłopską śpiewanej nutę:

“Oj jesienią, jesienią — oj! nigdzie liść na drzewie, —

“Oj i z sercem się tak dzieje-oj! choć człek o tem nie wie.”

Rankiem bywało zwykle trochę mgły, która około godziny dziesiątej opadała na ziemię, wlokła się po krzakach, rozczesując białe jej zwoje, kryła się w wąwozy i nika. Potem pogoda stawała się niezamąconą, a powietrze tak czyste, że wzrok nabierał dwa razy większej, niż zwyczajnie, siły. Pasma gór, oddalone na kilka mil, zdawały się leżeć tuż obok. Mogliśmy okiem rozróżnić wierzchołki drzew, pokrywających ich szczyty. Przedmioty widziane, zwłaszcza na wyniosłościach, powiększały się w trójnasób. Zdarzało się, że pieski ziemne brałyśmy za stada wielkich jakich zwierząt. Rozmarzonym i upoionym temi wszystkimi pięknosciami, po całych dniach nie zsiadałem z konia, posuwałem się nieraz na kilka mil przed karawaną, zostawiając umyślnie w tyle, zwiedzałem boczne kaniony, zapuszczałem się w ciemne wąwozy, nie dbając o Indyan i o dzikie zwierzęta, a pragnąc przedewszystkiem widzieć jak najwięcej. Zauważyłem przytem, jak mało poczucia piękności natury mają rodowici

Amerykanie. Zdarzyło się raz, żeśmy, błędząc we dwóch, z Woothrupem, zajęchali na szczyt niezbyt stromej góry, z której jednak otwierał się niezmiernie obszerny krajobraz. Lasy, wąwozy, mniejsze wzgórza, smugi stepu, ginące w oddaleniu strumyki, płynące od Północnych Wideł, — wszystko to leżało pod naszymi stopami, odziane jeszcze leciuchną mgłą, niby zasłoną, i oświecone promieniami rannego słońca. Rozmarzony więcej niż zwykle, zwróciłem się do mego towarzysza i, ukazując mu krajobraz, rzekłem:

— Patrz pan, co tu za cuda, i czym jest natura sama w sobie!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z pod topora pod krzyż..

Było to za panowania króla Mieczysława I. w Polsce. Książę ten ochrzcił się bo był poganinem i ożenił się z Dąbrówką księżniczką czeską. Gdy sam został chrześcijaninem, zapragnął aby i wszyscy poddani jego poznali prawdziwego Boga. Jeździł więc z Dąbrówką po kraju i nawracał lud jak tylko mógł najgorliwiej. Pewnego razu wybrał się sam w drogę a Dąbrówka pozostała w Gnieźnie, ale nie spoczywała wygodnie, pracowała i to dla P. Jezusa. Dobrocią swoją i szlachetnością serca, pobożnością serdeczną świeciła przykładem, bo przecież zna niej najlepiej się pokazywało jak wiara w Chrystusa Pana łagodzi obyczaje i czyni dobrymi.

Pewnego razu ze swoją towarzyszką przebrały się w strój służebny i poszły odwiedzić chorą wdowę imieniem Dobrogniewę. Biedaczka straciła męża na wojnie, a jedyną jej nadzieją był syn Wszebór. Ale i on był na wojnie a serce matki rwało się za synem z tęsknoty, Wszebór zaś, jak nie wracał tak nie wracał, a matka tymczasem ciężko zapadła na zdrowiu.

Modliła się Dobrogniewa o szczęśliwy powrót syna do Pocieszycielki matek strapionych. Najśw. Panny Maryi, bo już od niejakiego czasu została chrześcijanką.

Dąbrówka stała właśnie przy jej łożu, pocieszała ją, gdy wtem nagle otworzyły się drzwi i wszedł młody zbrojny człowiek.

Z piersi chorej wyrwał się okrzyk radości:

— Wszebór! — zawołała.

Syn przypadł matce do nóg i witał ją serdecznie. Wtem spostrzegł krzyż nad łóżkiem i zawołał z oburzeniem:

— Kto się ośmielił nawracać matkę moją do nowej wiary?

— My — odparła spokojnie Dąbrówka.

Wszebór porwał topór i zamierzył się na piękną i młodą księżnę.

— Synu! — zawołała matka — co czynisz! przecież ja im życie zawdzięczam. Czy mógłbyś napadać we własnym domu bezbronne kobiety?

Wszebór opuścił topór.

— Prawda — rzekł hamując się w gniewie. Gość w dom, Bóg w dom. Ale pamiętajcie — dodał zwracając się do kobiet — zemsta moja was nie minie.

Dąbrówka z towarzyszką milcząc wyszły od Dobrogniewy, a Wszebór zerwał krzyż ze ściany i rzucił go za wychodzącymi.

W jakiś czas potem zjechał król Mieczysław na sądy. Dużo było rozmaitych spraw. Z kolei zbliżył się poważny dworzanin i rzekł wskazując na zbrojnego rycerza:

— Ten, proszę Waszej Miłości, obalał po drogach krzyże a stawiał bałwany.

— Nie minie go surowa kara, wołali obecni, niech da głowę pod topór! i coraz więcej skarg zanosili na rycerza, bo był upartym i zagorzyłym czcicielem pogańskich bogów.

— Mam ja skargę na niego, rzekł Mieszek — i Wam ją oddaję moi mili. Ten oto Wszebór podniósł rękę zbrodniczą na księżnę Dąbrówkę.

Zaledwie te słowa padły z ust króla, a tłum zaczął się burzyć i huczeć. Groziłi Wszebórowi śmiercią, żądali żeby zginął.

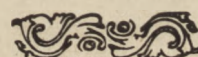
W tej chwili ukazała się księżna. Ubrana w białe szaty, z wiankiem na skroniach, wyglądała jak Anioł pokoju. Podeszła wprost do króla i błagała o przebaczenie dla Wszebora, prosiła tak rzewnie i serdecznie, że król jej niemógł odmówić. Na znak dany przez małżonkę zbliżyła się Dąbrówka do więzienia i rzekła: „jesteś wolny”.

Oporny i zaciekły dotąd poganin rzucił się jej do nóg, rozpłakał się i pokornie całował kraj jej szaty. Skoro się podniósł był dziwnie zmieniony. Na jego chmurną twarz padł jasny promień miłości i zmienił ją do niepoznania.

„O jakież ten Bóg wasz dobry, skoro wrogom przebaczać każe, a jeśli ludzie którzy w niego wierzą tacy są dobrzy. Jakież on dopiero być musi! Kocham Go i pragnę stać się jednym z was.

Lud patrzył zdumiony, nikt nie mógł oczom swoim wierzyć—takim Wszebora nikt nie widział.

Tymczasem więzień uwolniony zbliżył się do matki, która drżąca i spłakana stała opodal. — Synu mój, to Bóg cię oświecił, zawołała rzucając mu się naszyję, a Wszebór klęczał i schylił pokornie głowę ale nie pod topór, lecz pod wodę Chrztu świętego.



UKARANY MARNOTRAWCA.

Przed skromnym domkiem miasta Krakowa, pod rozłożystą lipą siedział starzec siwowłosy w sukni kapłańskiej, na kolanach trzymał wielką księgę rozwartą i czytał z niej coś pilnie. Wtem podniósł głowę: jakiś turkot, dolatujący z sąsiedniej ulicy, oderwał jego uwagę od książki.

— Ktoś jedzie, szepną sam do siebie i księgę zamknął; położył ją obok na ławie, wstał i zbliżył się do sztachetek okalających domek. Słuch go nie mylił, w tej samej bowiem chwili, na końcu ulicy ukazała się wspaniała kolesa sześciu końmi ciągnięta. Na koźle siedział woźnica w kerezyi suto blaszkami naszywanej, w czapeczce pawimi piórkami ustrojonej, za kolasa jechało konno dwóch pacholków bogato przybranych.

— Ktoś z panów, może hetman Potocki, szepnął staruszek i żwawym krokiem ku furtce pośpieszył, roztworzył ją na oścież.

Kolasa zatrzymała się właśnie przed domkiem, jeden z pacholków zeskoczył z konia, pobiegł do drzwiczek i roztworzył, a z kolasy wyskoczył młody mężczyzna w jedwabnym kontuszu, w szubie sobolami podbitej, która zarzucona niedbale na ramiona, spadała mu z jednego.

Staruszek cofnął się z widocznym zdumieniem.

— Jędrus! zawołał, skądże tak bujnie, tak strojno?

— Alboż nie jestem dziedzicem? odparł młodzieniec hardo.

Starzec wstrząsnął głową ze smutkiem.

— Ej! źle poczynasz twoje rządy, rzekł. Twój ojciec nigdyby nie jeździł tak dworno. Pamiętam go, żył skromnie, pomnij, że was trzech teraz na tem, co on miał jeden, nie stanie długo majątku, jak tak będziecie się rządzić.

— To już mój kłopot, odparł chłodno młodzieniec i skłoniwszy się starcowi oddał szubę jednemu z pacholców.

Starzec westchnął, poprosił gościa do ogródka, zasiedli na ławie, ale rozmowa się nie wiązała, bo młodzieniec był obrażony o uczynione mu uwagi, chociaż starzec miał prawo je czynić i z wieku i z urzędu, jaki piastował. Był to bowiem Jakób Zadzik, biskup krakowski, młodzieniec zaś był synem jego przyjaciela, który zmarł niedawno i zostawił każdemu z trzech synów wioszczkę dobrze zagospodarowaną. Zostawszy dziedzicem jednego z piękniejszych majątków w Krakowskim, Jędrzej pośpieszył niby w odwiedziny do przyjaciela, lecz rzeczwiście, żeby pokazać się ludziom dworno i wspaniale. Po krótkiej rozmowie z biskupem, pożegnawszy go, wsiadł do kolasy i pojechał dalej.

— Co jemu do mnie! myślał sobie. Dzieckiem

przecie nie jestem, żeby mnie łąać jak smarkacza.

W kilka lat potem, roku 1640, obwołany został sejm na 19 kwietnia, doszły bowiem wieści, że sułtan turecki Amurat, dumny świeżem zwycięstwem odniesionem nad Persami, począł czynić przygotowania do wojny z Polską. Władysław też IV panujący wówczas chciał naradzić się z paniami. Kto tylko mógł, pośpieszył do Warszawy, a między innymi i biskup Zadzik.

Przyjechawszy do stolicy, biskup złożył najpierw w pewnym miejscu swoje pakunki, poczem poszedł na ulicę, by się miastu przypatrzeć. Właśnie zakręcał na Krakowskie przedmieście, gdy niespodzianie spotkał się ze znanym nam już młodzieńcem.

— I ty tutaj Jędrusiu! zawołał widoczną radością a przywiozłeś pieniądze, bo to wojna za pasem, a ojciec twój nigdy w potrzebie pomocy nie odmawiał.

Jędrzej w miejsce odpowiedzi, spuścił oczy.

Biskup spojrzał nań uważnie.

Wykwintny niegdys panek miał dziś na sobie zniszczony kontusz, buty podarte, twarz bladą i oczy zanadłe.

— Co sie z tobą stało? zapytał.

— Straciłem wszystko, odparł młodzieniec cicho.

— Straciłeś! z boleścią powtórzył kapłan, załamując ręce. Domyśliłem się tego, patrząc na twoje zniszczone odzienie, prawie na łachmany wyglądające. Takie łachmany czekają kraj cały, mający synów, którzy umieją tylko mienia po ojcach swych trwonić a nie powiększać. Każdy podobny tobie, jeden z łachmanów zawiesza na nim, jest więc rabusem samego siebie i wszystkich. Zasłużyć na takie miano, to hańba, to...

— Nie kończ, szanowny opiekunie, przerwał młodzieniec z wybuchem i rozpaczą. Dziś sam sobą się brzydzę, poznawszy sałą swoją szkaradę.

— I słusznie, a wiesz jaka główna przyczyna twego nieszczęścia? Próżniactwo i chęć używania bez pracy tego, co daje dostatek. Miałeś go już, oszczędność byłaby go ocaliła, praca podwoiła; próżniactwo wszystko zjadło i zostawiło tylko żal niewczesny.

— Prawda, szanowny opiekunie, ale ratuj nie szczęśliwego.

Biskup nie odmówił, umieścił młodzieńca jako ekonoma na jednym ze swoich folwarków i doczekał się tej pociechy, że panicz tak wielki niegdys marnotrawca, przyszedł zupełnie do rozumu i nim grosz wydał, dobrze się wprzódy namyślił, powiadając zawsze, że nie na to wydawać należy, co użytek przynosi, ale na to bez czego żadnym sposobem obejść się nie można.

Teresa Jadwiga.

Z włoskiego
przetłumaczył
Ks. St. Siatka

Syn marnotrawny

DRAMAT W IV AKTACH,

(Ciąg dalszy.)

LABAN: A Asser, czy wchodzi w ślady Karmela?

ELEAZ: Mam nadzieję, że pójdzie za przykładem Karmela.

LABAN: Jakto! masz nadzieję, czyżby Asser nie sprawiał ci już tej przyjemności, jak w u biegłych latach?

ELEAZ: Mój drogi, cóż ci mam powiedzieć? Asser już nie jest tym, jakim był przedtem, nic wielkiego wprowadzie nie zaszło i nic też jeszcze nie jest stracone. Serce ma dobre, ale od pewnego czasu zauważyłem, że stracił przywiązanie do domu — nie wiem, co by to tak na niego wpłynęło. Jeżeli rozmawiam z nim, twarz jego zachmurza się, jeżeli pytam o powody, odpowiada wymijająco. Ach! ja nieszczeniwi... co to wszystko może znaczyć?

LABAN: Uspokój się, przyjacielu, porzuć te przypuszczenia, Asser jeszcze niedoświadczony, z czasem wszystko się zmieni, miłość ojcowska ma wielki wpływ.

ELEAZ: Lecz czemuż Asser tak odmienny od Karmela? Przyznam ci się, że byłbym najszczęśliwszy ze śmiertelników i niczego bym nie pragnął na ziemi... Lecz dosyć, mam w Bogu nadzieję, że nie będę zawiedziony. — Czynię też co mogę, ażeby to serce zjednać dla miłości ojcowskiej i dobrocią je podbić.

Dzisiaj właśnie staję się pełnoletnim; z tej też racyi poczyniłem już pewne przygotowania i za ośm dni wyprawię wspaniałą ucztę dla niego. Zaprosiłem najbliższych krewnych i ty także zostaniesz u nas.

LABAN: Z największą przyjemnością.

ELEAZ: Sądzę, że najlepiej uczynię, kiedy Assera oddam do kupiectwa i to pod twoją opiekę Labanie. Lubi podróżować, zabierzesz go więc z sobą do Jeruzalem, do Joppy i pod kierunkiem twoim, wyjdzie na porządnego człowieka.

LABAN: Dziękuję ci za zaufanie, jakie pokładasz we mnie... Uczynię wszystko, co będzie w mej mocy, i postaram się, aby Asser zajął w przyszłości wybitne stanowisko w kupiectwie. Jesteem pewny, że to będzie dla niego najlepsza szkoła i że pomni o głupstwach i lekkomyślnych przyjaciół.

ELEAZ: I ja tak sądzę... (Wchodzi Karmel). Oto, jakby na dobrą zowiedź mój dobry Karmel przychodzi.

Scena 3cia.

KARMEL, ELEAZAR I LABAN.

KARMEL: Witaj ojczu, jak się masz Labanie?

LABAN: Dzięki ci, dobrze.

KARMEL: Tak długo tęskniłem za tobą...

LABAN: Wdzięczny ci za to jestem.

KARMEL: Czy długo zabawisz w Lidy?

LABAN: Nie dłużej jak zwykle, za miesiąc muszę już być w Joppe, skąd wyruszę do Syrakus...

ELEAZ: Zawsze wśród interesów...

KARMEL: Przynajmniej przez jakiś czas ucieszymy się wspólnie w naszym domu...

LABAN: Za wiele, za wiele tego wszystkiego — moi przyjaciele — ja bynajmniej na to nie zasługuję...

Lecz wybaczcie na teraz, pójde zobaczyć moich ludzi, muszę być obecnym przy wyładowywaniu towarów, za chwilę powrócę... (odchodzi.)

ELEAZ: Owszem, owszem — do widzenia.

KARMEL: Do miłego jak najprędzej.. Oto drogi ojczu, rachunki za ubiegły miesiąc.

ELEAZ: Jakto? tak punktualnie?

KARMEL: Ale gdzieżtam i tak się już spóźniłem.

ELEAZ: Zostaw te rachunki, co mnie z nich przyjdzie. (siada.)

KARMEL: Jakto! czy może sądzisz, że zbiory nie były dość obfite,

Bądź spokojny, Bóg pobłogosławił naszej pracy, mamy wszystkiego cztery razy więcej niż poprzedniego roku — dziękujmy za to Bogu.

ELEAZ: Nie uskarżam się na zbiory bynajmniej. Powodem mego utrapienia to Asser, który jak zauważyłeś, z każdym dniem pochmurniejszym się staje i bardziej milczącym.

KARMEL: I ja jakąś zmianę w nim spostrzegłem, mój ojczu, ale może nam tylko się tak zdaje.

ELEAZ: Nie synu!... dawniej trzymał się więcej domu.

KARMEL: Teraz go unika i prawie zawsze za domem.

ELEAZ: Polowanie i polowanie wciąż mu w głowie po całych dniach,

KARMEL: I Jona zawsze z nim. Ten Jona coś mi się zdaje bardzo podejrzany sługa.

ELEAZ: Nie sam Jona, ale jest jeszcze ktoś inny, który go bałamusi. O tak — człowiek nieprzyjazny zakradł się do mego domu.

KARMEL: Kogo masz na myśli ojczu?

ELEAZ: Mam na myśli Mamukę.

KARMEL: Czyż podobna ojczu?

ELEAZ: Tak, Mamuka umiał mię podejść i oszukać. Ta jego pozorna uczciwość, ten uśmiech nie miły, te komplementy.....

KARMEL: Jabym nie powiedział tego, on przecież tak bardzo przywiązany do naszego domu...

ELEAZ: To tylko pozory.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sen Leszka Białego.

(Opowiadanie z roku 1202).

(Dokończenie).

Królowa zatrwożyła się trochę.

— Czy straszny? — spytała.

— Nie! — odparł Leszek i zaczął opowiadać swe senne widzenie.

Gdy skończył, królowa uśmiechnęła się.

— Nic to złego — rzekła. — Chodź lepiej na śniadanie, pewnoś głodny?

— Posłowie z Krakowa przybyli — rzekł Goworek.

Znowu trwoga odbiła się na twarzy królowej.

— Czy od króla Mieszka? — spytała.

— Zapewne. Naznaczyłem im posłuchanie za dwie godziny.

Królowa skinęła głową.

— To dobrze — odparła. — Jeżeli to uroczyste poselstwo...

— Tak się zdaje, pani.

— No to nie można wcześniej ich przyjąć.

Leszek spojrzał na wojewodę i zaczerwienił się, lecz królowa nie zauważyła tego.

— Idź na śniadanie Leszku — rzekła wychodząc.

Dwie godziny zdawały się być wiekiem całym dla niecierpliwego księcia. Gdy wreszcie upłynął naznaczony termin, Goworek kazał poprosić posłów do wielkiej sali. Ściany tej sali były zawieszane bogatymi wschodnimi kobiercami, ubrane wszelkiego gatunku zbroją, bronią i trofeami myśliwskimi. Wisiały tu i szable i miecze z Niemiec długie a cienkie, i buńczuki arabskie, zdobyte przez księcia Henryka i polskie dzidy i łby żubrzej, i rozłożyste rogi jelenie.

Księżę we wspianych szatach wraz z matką, siedział na podwyższeniu. Przy boku Leszka stał wojewoda Goworek. Liczny dwór, rycerze i niewiasty otaczał młodego Leszka i królowę. Posłowie krakowcy w bogatych strojach, lśniących od złota i drogich kamieni, powoli, z godnością zbliżli się do tronu książęcego. Skłonili się głęboko. Młodemu księciu krew się burzyła z niecierpliwości, liczne pytania cisnęły się na usta — lecz panował nad sobą. Zresztą Goworek nachylał się doń i szeptał:

— Księżę, spokojnie, spokojnie na Boga!

Królowa trwożyła się w duchu, choć na jej białych licach panował spokój.

— Przyszliśmy donieść wam, miłościwy księżę, i wam miłościwa pani i królowo! — przemówili posłowie — że Najjaśniejszy Pan, król Mieszko III, wielki książę krakowski, umarł.

Ogromna cisza zaległa salę. Leszek drżał prawie.

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie! — wyszeptał kapelan królowej.

Posłowie znowu skłonili się głęboko, a jeden z nich, poważny godnością i wiekiem, zaczął mówić:

— Prosimy cię przeto, miłościwy księżę, byś nam został królem, byś nam panował, jako twój rodzic Kazimierz Sprawiedliwy, jako dziad twój Bolesław Krzywousty... Prosimy cię w imieniu ludu krakowskiego.

Leszek pobladł ze wzruszenia, spojrzał na matkę i Goworka, ich twarze były smutne i poważne.

— Mój sen — szepnął cicho Leszek — jest korona złota, a gdzież serce złote?

— A jakie warunki stawiacie miłościwemu księciu? — spytał wojewoda spokojnie.

— Dotrzymanie swobód, zawarowanych nam przez Kazimierza Sprawiedliwego aktem w Łęczycy...

— Cokolwiek ojciec mój postanowił, odmienić nie będę! — rzekł Leszek z godnością. — Cóż więcej?

Posłowie zawahali się.

— I abyś księżę usunął od siebie swego dotychczasowego opiekuna i doradcę.

— Wojewodę Goworka?

— Tak księżę!

Leszek oburzony, zerwał się z tronu. Wojewoda położył mu rękę na ramieniu.

— Siadajże księżę — szepnął. — Spokojnie mój sokole.

Leszek całą siłą woli zapanował nad sobą.

— Nie, na to nigdy się nie zgodzę! — zawołał. — Wojewoda zostanie przy mnie!

Posłowie padli na kolana i zaczęli błagać księcia. Lecz młody książę nie odpowiadał wcale, jeno zamyślony potrząsnął głową.

Posłowie stali smutni.

Męcząca cisza zapanowała w sali. Wreszcie rozległ się spokojny, serdeczny głos wojewody Goworka:

— Przyjm księżę, koronę krakowską. Panuj nam szczęśliwie. Ja cieszyć się będę szczęściem twojem... Nie będę już służył ci radą, jeno gorącą modlitwą za ciebie i za kraj nasz.

Łzy rozrzewnienia błysnęły w oczach królowej. Nie odzywała się jednak wcale.

— Niech sam wybierze — myślała.

— Przyjm. księżę koronę — prosił Goworek. — Mnie nie żałuj! Ja się oddalę... Rządz sprawiedliwie, mądrze. Choć zdała, umrę szczęśliwy i radosny, słuchając i ciesząc się, jak cię lud błogosławi.

Panowie krakowscy ponowili swe prośby i błagania.

— Nie, nigdy! — odpowiedział stanowczo Leszek, — Wojewoda Goworek wspierał mnie radą, opieką, gdy byłem opuszczony przez was. On mnie prowadził, ochraniał i kochał, jakby mi ojcem był

rodzonym. Jakżeby mógł sprawiedliwie panować, skorobym ten tron niesprawiedliwością, zdradą i niewdzięcznością okupił! Wyżej cenię złote serce Goworka, niż koronę królewską.

— To wasza ostatnia odpowiedź, mrościwy książę?

— Tak — odpowiedział chłopiec z powagą.

Posłowie czekali jeszcze przez chwilę, poczem skłonili się głęboko i w milczeniu wyszli z sali.

— Synu mój kochany, jakżem dumna z ciebie! — zawołała królowa Helena, tuląc Leszka do swej piersi.

— Sprawdził się mój sen! — rzekł młody książę wesoło — była i korona, i serce złote!

— Na połowę tylko, bo korony nie macie, zostało wam tylko złote serce, bijące w waszej młodej a już tak szlachetnej piersi! rzekł smutnie wojewoda.

Nie przeczuwał wówczas, że tron krakowski Leszka nie minie, że za cztery lata młodą skroń księcia uwieńczy złota korona królów polskich.

O DUSZY, POKUTUJĄCEJ W LIPIE.

W jednej wsi koło Zamościa było takie zdarzenie:

Powracali ludzie z kościoła do domów; wtem słyszą, jak z pomiędzy gałęzi lipy, rosnącej przy drodze, wychodzi głos donośny: „Boże mój, Boże! zbaw duszę moją!”

Zdziwili się bardzo, przystanęli. Patrzą na drzewo — niema nikogo, a głos coraz powtarza swoją pobożną modlitwę.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! zawołali przerażeni. Pozdejmovali czapki i, zebrawszy się w gromadkę, stali nieruchomo, nie wiedząc, co to być może. Dziewczęta przytuliły się do siebie; dzieciaki pochowały się za ojców; a i ojcowie jakoś zapomnieli języka. Aż jeden ze starszych przeżegnał się, zmówił „wieczny odpoczynek” i pyta drżącym głosem:

— A czyjaś ty, biedna duszyczko?

— Księdza Jana! — odpowiada głos z lipy.

Tu już nie mogli wytrzymać, jedne drugi wzięli nogi za pas i zmykał, co mu sił starczyło. Przybiegli do wsi zdyszani, mówiąc wszystkim, że w lipie koło drogi siedzi pokutująca dusza księdza Jana.

Strach objął całą wieś, bo i tak niejeden bał się duchów pokutujących; a choć było paru oświeconych, którzy mówili, że dusze po śmierci nie mogą chodzić po ziemi i straszyć ludzi, to teraz i sami nie wiedzieli, co o tem myśleć. Ludzie zbierali się przed

tam, rozmawiając półgłosem o nieszczęśliwej duszy, i coraz spoglądali na drogę, na skrócie której stała owa lipa.

Nie wiadomo, na czemby się to wszystko skończyło, gdyby nie to, że właśnie od strony miasteczka nadjechała bryczka księdza wikarego który niedawno do ich parafii się sprowadził. Widząc zafrasowaną gromadkę, ksiądz kazał zatrzymać konie i pyta co im się stało. Opowiedzieli mu o owej pokutującej duszy...

— Hm! — mówi ksiądz, wysłuchawszy uważnie całej historii, — trzeba się przekonać, co to jest. Dalej chłopcy! kto z was odważny, niech idzie za mną: ja się duszy przecie nie zlekę.

— Ja tam nie pójde — mówi Walek.

— Ani ja! ani ja! — powtórzyli inni.

— A ja pójde! — zawołał Stach, jeden z tych co to nie chcieli wierzyć w dusze pokutujące tu na ziemi. — Toć nie mamy czego się lękać, jeśli Dobrodziej będzie z nami.

— A no, chodźmy, kiedy tak! — odrzekł Wojtek, przyjaciel Stacha.

Widząc to, i inni, choć ze strachem, pociągnęli za księdzem; za nimi poszły i kobiety, wylęknione, ale ciekawe, co też to będzie.

Powoli powstrzymując oddech, gromadka zbliżyła się ku cudownej lipie, z której doleciała znów modlitwa: „Boże, mój Boże, zbaw duszę moją!”

Na ten głos ciarki przeszły po obecnych i jaki taki już myślał drapnąć. Wtem, podszedłszy pod samą lipę, ksiądz cmoknął głośno i zagwizdał. W tej chwili z pomiędzy liści dał się słyszeć ten sam głos: „Księdza Jana! księdza Jana!” i ze świergotem wyłeciał z gęstwiny czarny ptaszek, który zaraz usiadł na głowie wikaremu...

— Dusza! dusza!! — zawołali ludzie i znów zabierali się do ucieczki; powstrzymali się jednak, widząc, że wikary wesoło się uśmiecha, a owa dusza w postaci ptaka skacze sobie po nim i świergotuje.

— Oj, ludzie, ludzie! — powiada do nich wreszcie ksiądz, — wiecie wy też, czegoście się tak połękali? Oto szpaka uczonego! To ja wychowałem sobie tego szpaczka i nauczyłem go trochę mówić; właśnie dziś rano gdzieś mi się zapodział i teraz oto szczęśliwie go znajduję...

Na te słowa odrazu wszystkim odwaga wróciła.

— Tfu!! — mówi Bartek, nakładając czapkę na głowę. — Czy to nie śmiechu warte, żeby jedna ptaszyna tyle strachu całej wsi narobiła?

— Ale bo też ktoby się był spodział, że to ptak, a nie dusza, kiedy tak po ludzku gada! — powiada któraś z kobiet.

— No, no, — powtarzali chłopcy, zbliżając się do wikarego i spoglądając ze śmiechem na skaczącego mu po ręce szpaka; — że też to nikomu do głowy nie przyszło. A tośmy się strachu najedli, że aż wstyd!

M. B.

MACIERZ POLSKATYGODNIK POWIEŚCIOWO ILLUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

wychodzi co czwartek, każdego tygodnia

Adres
redakcyj: **MACIERZ POLSKA,**

51 INGRAHAM STREET,

CHICAGO, ILLINOIS

Prenumerata roczna wynosi \$1.00,
lub miesięcznie 10 ct

Pojedynczy numer 3 centy

Adres
administracyjny: **MACIERZ POLSKA,**

141-143 W. DIVISION STREET.

CHICAGO, ILL.

MACIERZ POLSKA

AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE

Issued at Chicago every Thursday.

Editor's
address: **MACIERZ POLSKA,**

51 INGRAHAM STREET,

CHICAGO, ILLINOIS

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month.

Single copy 3 cents

Address of Business Office

THE POLISH PUBLISHING CO.

Publishers of

MACIERZ POLSKA

141-143 WEST DIVISION STREET,

CHICAGO, ILLINOIS

LATO.

Już skwarne lato
Roztacza czary
W powietrzu słychać
Wesołe gwary —
I w polu słychać
Wieśniacze głosy,
I od łąk płynie
Cichy brzęk kosy.
A od pobliskich
Czasami błoni
Dolata rzenie
Spętanych koni,
Które się pasą
Zdala od sioła...
A zresztą cisza.
Spokój dokoła.

Już po południu,
Słoneczko nisko,
Więc pastuch było
Gna na pastwisko,
By tam spokojnie
W wieczornej dobie
Na świeżej trawce
Podjadło sobie,
Gdy on na wzgórzu
Leżąc pod lasem,
Będzie na fletni
Nucił tymczasem.

DRZAZGA.

Był przykry wieczór zimowy, gdy pewien woźny, bardzo poczciwy człowiek, niósł znaczną sumę pieniędzy do miasta. W drodze, przy samym lesie, został napadnięty, zrabowany i zabity. Wnet potem znaleziono jego ciało na śniegu, dokoła krwią zbroczonym. Te samej nocy kazał starosta zapalić pochodnie i udał się na miejsce popełnionego mordu. Tam oglądając wszystko dokładnie, ujrzał drzazgę od jakiegoś kosztura, którą podniósł i schował.

Nazajutrz wchodzi starosta do sali urzędowej. Jakież było jego zdumienie, gdy spostrzegł kosztur posługacza sądowego przy drzwiach oparty, na którym podobnej drzazgi brakowało. Przymierza natychmiast drzazgę i znajduje, że zupełnie do szczyrby przylega. Zaraz więc wydał rozkaz, aby ująć posługacza i okuć w kajdany.

Zrazu zapierał się zbrodniarz popełnionego zabójstwa, ale mała ta drzazga głośno przeciw niemu świadczyła. W końcu, zbladły i drżący, wyznał nareszcie, że wiedząc, iż woźny dużo z sądu ma przynieść pieniędzy, napadł z łakomstwa i zamordował dobrego człowieka, który mu w życiu żadnej nie zrobił krzywdy.

Worek z pieniędzmi ukrył morderca pod stołem drzewa. Znaleziono je nietknięte. Tak tedy nie widział nawet tych pieniędzy, dla których morderstwo był popełnił. Za karę zbrodni, wśród mnóstwa zbiegłego ludu, ścięto mu głowę. Każdy się dziwił, iż rzecz tak mało znacząca to haniebne przestępstwo wykryło.

Wiele już złego na widnią Bóg stawi,
Reszta się wszystko w dzień sądny wyjawia,

NAUCZYCIEL I UCZEŃ.

N. Czy kochasz dziecię, ojca, — kochasz matkę swoją? U. Kocham. N. O bardzo się boję, czyli się nie mylisz, kochanie. I cóżto kochać? U. Kochać jestto kochać. Panie! N. Cóż to znaczy? U. Ja nie wiem, ale tylko czuję. Kiedy ja kogo kocham tedy go całuję. N. Widzisz, błędzisz. Kochać czule i tatule i matule — jest: dopełnić ich rozkazu i to z ochotą — odrazu; być dorbym i strzedz się złego, by się nie smucili z tego i zawsze się modlić czule za nich. Myśleć sobie: później może, jak mi Pan Bóg dopomoże, w mym domku przyjmę, przytulę i tatule i mamule. Oni tacy dobrzy byli, tyle dla mnie uczynił; ja im wszystko — wszystko zrobię, dla nich nawet ujmę sobie. Oto to znaczy kochanie, to prawdziwe przywiązanie.

MRUCZEK I MILCZEK.

Jeden braciszek i siostra jego byli dziećmi bardzo dobrymi, ale mieli nieładne przyzwyczajenie, gdyż braciszek na wszystko co go zapytano, mru-
czał uchu! a siostra milcząc potrząsała głową. Szczególniej robili to przy obcych osobach, a choć rodzice powiadali, że takim mruczkiem i milczkiem być to bardzo brzydko, nie pozbywali się jednak

— Jak się macie dzieci, odezwał się Bolesław
cóż poznałyście mnie?

— Uchu! mruknął chłopczyk, a siostrzyczka
kiwnęła głową.

— Cóż tęskniliście za mną bardzo?

— Uchu! — powtórnie mruknął chłopczyk, a
dziewczynka kiwnęła głową.

— Przywiozłem wam kilka podarunków, bo
sądzę, że nie zapomnieliście ze mną zabawy.



NA PASTWISKU.

swego nałogu, uchu i kiwanie głową ciągle było w
robocie.

Raz przyjechał do nich brat cioteczny Bole-
sław, wesół i pełen życia młodzieniec, którego
bardzo kochali. Zobaczywszy go z radości aż się
zarumienili, bo Bolesława już dawno nie widzieli, a
przez ten czas tak urosł i zmężniał, że zdało się
im, że jest już dorosłym mężczyzną.

Dzieci znowu mrukiem i kiwnieniem odpowie-
działy.

— Cóż to, czy mówić nie umiecie? A podarun-
ki mam przesłiczne.

— To nam pokaż, odezwał się chłopczyk.

— Uchu! mruknął Bolesław.

— A co nam przywiozłeś? zapytała dziewczyn-
ka.

Bolesław kiwnął głową.

— No powiedz, powiedz, prosiły dzieci.

Bolesław razem mruknął i potrząsł głową.

— Czy mówić nie umiesz? spytała dziewczynka.

— My tacy ciekawi wyrzekł chłopczyk.

— Może dla mnie lalkę przywiozłeś?

— A dla mnie konika i pałasz?

— A może książkę z obrazkami.

— Może cukierki.

— Powiedz, powiedz mój Bolesiu, prosiły dzieci, ale Bolesław na wszystkie te zapytania mrucał tylko uchu! albo trząsł głową i uśmiechał się.

— Ej! niedabry jesteś braciszek, nie kochamy cię, odezwały się dzieci i uisady na boku przy oknie niezadowolone.

— Od was się tego nauczyłem mruczenia i kiwania głową, odezwał się Bolesław.

— Uchu! mruknął chłopczyk.

— Uchu! powtórzył Bolesław, a zobaczywszy że dziewczynka znowu kiwnęła głową, mierząc nią prosto w czoło dziewczynki mówił:

— Baran, baran, baran tryk!

Potem zwrócił się do chłopczyka i wymruczał! uchu — uchu, chu, chup.

I dopóty to powtarzał zwracając się to w jedną to w drugą stronę, choć dzieci dęsały się i odpychały, i z taką to robił śmiesznością, że dzieci nie mogły wytrzymać i rozchichotały się wielką wesołością.

— Z czego wy się śmiejecie? — zapytał młodzienczek robiąc nagle minę poważną.

— A bo taki śmieszny jesteś ze swem mručeniem i trzęsieniem głowy, że wytrzymać trudno tak nas to bawi.

— Ja tylko was naśladowę, odrzekł Bolesław tylko z tą różnicą, że ja śmiesznością tą bawię was, a wy nią nudzicie i wystawiacie się na to, że was Mruczkiem i Milczkiem nazywają.

A ciebie figlarzem.

— Moje figle nie nudzą, a jak zaczynają naprzykrzać się komu, to ich zaraz zaprzestają. Wasze mruczenie i kiwanie głową już mi stanęło w gardle kością, w chlebie ością, pniem na drodze ciernią w nodze, solą w oku i śmiertelną kolką w boku! Cóż dopiero tym co z wami są ciągle!

— Czy to na prawdę tak powiadasz? zapytały dzieci.

— Uchu! mruknął Bolesław i kiwnął głową.

— Ech! nie lubimy takiej odpowiedzi! zawołały dzieci rzucając się starszemu bratu na szyję.

— A jaką lubicie?

— Tak jak człowiek kiedy mówi.

— To i wy mówcie zawsze jak człowiek, a będzie z wami po ludzku się rozmawiać.

— Już będziemy, ale pokaż nam podarunki.

— Później cokolwiek, jak się przekonam że przestaliście naprawdę być Mruczkiem i Milczkiem.

Chłopczyk chciał prosić i naprzykrzać się, ale siostrzyczka rzekła:

— Poczekajmy troszkę, niech Bolesław przekonają się, że to nie żarty.

W tydzień dopiero podarunki zostały pokazane, bo choć rzadko ale czasami dzieci ulegały swemu nałogowi. Codzień jednak mniej wypadków podobnych zdarzało się, aż wreszcie dzieci odzwyczaiły się i Bolesławowi nie mogły się za to dosyć nadziękować.



ŻYCIE I PRZYGODY ŻABKI.



Według Brzezińskiego opowiedział F. Porębka.

Wkrótce zapomniałam o przygodzie z wężem, bo wszystko na świecie powoli się zapomina. Życie szło mi bez troski, wesoło i przyjemnie.

W ciągu dnia, w czasie upału, drzemałam sobie, jak i inne żabki, na wodzie, lub na trawie, pod wieczór zbierałyśmy się wszystkie na pogawędkę i na wspólną zabawę, przy której wzajemnie sobie opowiadałyśmy i opowiadamy codzienne nasze przygody.

W taki to dopiero czas nasz staw nabiera prawdziwego życia. Zebrane wspólnie wesoło pluskamy się na wodzie, gonimy jedna drugą, rechocząc przytem tak głośno, że aż echo tego rechotania daleko się rozchodzi.

Najmilszemi były nasze śpiewy.

Bywało, noc cicha spokojna, na niebie srebrny księżyc błyszczy, a naokoło niego roje gwiazd — wtem zdala odezwie się głośno wezwanie:

— Kum! kum! kum!...

— Kuma! kuma! kuma! — odpowie głos z nad brzegu.

— Kua! kua! kua!... zakrzyczymy zewsząd, jak na komendę... I znów wszystko milknie, tylko łagodne: rerere! rozlega się, jak dzwonek, po łące wśród nocnej ciszy.

Gdy się już naśpiewamy dowoli, wtenczas zwykle wybieramy się na wyprawę.

Jedne z nas idą w pola, inne zostają na łące w pobliżu stawu.

Co do mnie, to bywałam w różnych miejscach, ale najczęściej lubiałam wyprawę do ogrodów warzywnych. Tam to bywa prawdziwa uczta dla nas żab! Lecz bynajmniej nie z warzyw, o, nie. Tych rzeczy my nie niszczymy, bo wiemy, że ich ludzie używają na swoje potrzeby i uprawa jarzyn kosztuje dużo pracy. O tem wiemy bardzo dobrze

i dlatego warzywa nie niszczy my, tylko jego szkodników.

Na kapuście, grochu, burakach i marchwi zwykle pełno jest różnego robactwa, niszczącego warzywa, otóż my właśnie z tych szkodników urządzamy sobie ucztę w ogrodach. Na takich wycieczkach najadamy się, ile się zmieści, żałując tylko, że nie można zabrać ze sobą na zapas.

Na tych wycieczkach zaprzyjaźniłam się bardzo z jedną starą ropuchą.

Brzydka ona była, bo brzydka, ale pocziwa bardzo staruszką.

Opowiadała mi ona, że już od kilku lat, co rok na wiosnę, powraca do tego samego ogrodu, gdzie niszczy wszelkie robactwo i tym sposobem oczyszcza ogród.

— Ale cóż — mówiła ze smutkiem i żalem — muszę się ukrywać jak zbrodniarka jaka, bo ludzie nierozumni nie cierpią mnie, nazywają czarownicą i czychają na moje życie. Niewdzięczni! nie wiedzą o tem, że gdyby nie ropuchy i inne żaby, to nie daliby sobie rady z robactwem, któreby wszystkie ich warzywa poniszczyły. Dorpawdy, kończyła ropucha z płaczem, przychodzi mi ochota porzucić tych niewdzięcznych ludzi, a pójść gdzieś indziej w świat, gdzie ludzie więcej rozsądni umiają ocenić korzyść, jaką ropuchy przynoszą ogrodom warzywnym, oczyszczając je z robactwa i ochraniając tym sposobem od zniszczenia jarzyny, a ludzi od strat,

Sprzeczałam się długo ze staruszką, utrzymując, że ludzie nie są tak źli. Niestety, prędko się przekonałam o prawdzie słów ropuchy.

Nazajutrz przed samem zachodem słońca usłyszałam głośne krzyki i stąpania. Wychyliwszy głowę z wody ujrzałam kilku chłopców, zbliżających się do stawu.

— O, widzisz ją! — krzyknął jeden i w tej chwili ze świstem nad moją głowę przeleciał kamień, puszczony ręką niegodziwego chłopca.

Szybko schowałam się pod wodę, ale kilka moich towarzyszek, mniej ostrożnych, zginęło z rąk tych niegodziwców... I czegoż oni chcieli od nas? cośmy im złego zrobili? Przez głupotę, swawolę i złe serce, znęcali się nad nami i zabijali nas. Szczęściem właśnie dla nas, że nadszedł pan i skarcił im tę zabawę. Za to jesteśmy mu wszystkie wdzięczne, bo jakoś od tego czasu chłopcy nie ciskali na nas kamieniami, i znów swobodnie i wesoło życie prowadzimy. Gdy zaś nadejdzie jesień, wtenczas wyszukam sobie na dnie stawu zacisznego miejsca, gdzie będzie dużo mułu i liści zgniłych, tam zrobię sobie głęboki dołek, zakopię się w mule i spać będę całą zimę, aż znów z wiosną ciepłe słońca promienie zbudzą mnie do życia dalszego.

Tu żabka dygnyła, jak mała dziewczynka, i jednym susem skoczyła do wody, skąd raz jeszcze spojrzała na mnie i popłynęła dalej, a ja powstawszy wróciłem do domu, gdzie zaraz spisałem całe opowiadanie żabki, aby je podać swoim czytelnikom...

DWIE POTĘGI.

POWIEŚĆ Z CZASÓW DYOKLECJANA.
Przez Teresę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

— Dziękuję ci bracie, za dobrą wiadomość — rzekł Marcelin, całując przyjaciela — troszczyłem się bardzo o matkę... O ciebie również chciałbym być spokojnym, więc proszę cię nie przychodź do mnie. Możesz ściągnąć na siebie podejrzenie, więc zacznę pytać, kto jesteś, i w końcu dowiedzą się, żeś ten, kogo poszukują.

Stabor z wymówką spojrzał na przyjaciela.

— Czy się lękasz, abym nie sięgnął po koronę męczeńską, o którą ty się ubiegasz? — zapytał. — O, jakżebym czuł się szczęśliwym, gdybyśmy w jednym dniu ukoronowani zostali!

— Nie chciałbym mieć na sumieniu twego życia — odparł.

Gdybyś był na mojem miejscu, czyniłbyś zapewne to samo dla mnie, co ja dziś dla ciebie.

— Bez wątpienia.

— Więc nie chciej, abym gorszym był od ciebie. Zamiast mnie przestrzegać, powiedz, czy nie wiesz, jakie mają zamiary względem was?

— Dozorcy powiadali, że otrzymali rozkaz wybrania najurodziwszych z pomiędzy robotników i podania ich imion imperatorowi. Mówiąc o tem wskazywali mnie — mówił Marcelin. — Podobno Dyoklecjan obiecał wspaniałe igrzyska ludowi. Ważne chwile zbliżają się dla nas.

— Nie odstąpię cię do ostatniej chwili — rzekł — może Bóg miłosierny dozwoli, że wyjdziemy razem na arenę cyrku.

Marcelin uścisnął go powtórnie.

— O matkę i Lenę możesz, jak powiedziałem, być spokojnym — pocieszał Stabor swego przyjaciela. O szlachetnym Virinusie miałem też niedawno wieści od ojca Dyonizego.

— I jakież? — zapytał Marcelin głosem wzruszonym.

— Że pracuje w Egipcie nad krzewieniem wśród tamtejszej ludności nauki Chrystusa i że codziennie zdobywa dla niej nowych wyznawców. Tak, Marcelinie, nauka Chrystusa, cnoć jej wyznawcy pracują w tajemnicy, w nędzy w upokorzeniu jednak potężnie, stacza boje szczęśliwe, zwy-

cięża. Zajaśnieje niebawem krzyż na Kapitolu, na gruzach pogańskiego Rzymu wzniesie się Rzym nowy, odrodzony, Rzym chrześcijański.

Marcelin wrócił wzrok dziękczynny do nieba.

— Hej! czas spać! — krzyknął dozorca.

Stabor powstał,

— Jutro czasami zwróc wzrok z rusztowania na ulicę, a zamienimy spojrzenie ze sobą — rzekł, podając dłoń Marcelinowi na pożegnanie. — Wieczorem przyjdę znowu na rozmowę.

To mówiąc, wsunął kilka złotych sztuk mone-ty w rękę Marcelina.

— Co czynisz? — zapytał młodzieniec z urazą.

— Jeśli ty nie potrzebujesz, nie jeden z twoich towarzyszy może stokroć w gorszym jest położeniu — odrzekł Stabor. — Pamiętaj o tem, że my chrześcijanie tworzymy ściśle braterstwo, że wszystko, co mamy, jest wspólne nam wszystkim.

Marcelin zatrzymał pieniądze.

— Dziękuję ci, bracie, — rzekł — w istocie kilku moich towarzyszy nie ma nawet całej sukni na sobie, uszczęśliwię ich jutro. Powiedz matce i Lenie, że jestem spokojny, a jedyną troską są one, że gdy będę je widywał codziennie, przechodzące w pobliżu termu, duch mój słabnąć nie będzie.

— Nie wątpię, że matka i Lena jutro w południe wybiorą się tutaj. Bądź dobrej myśli i wyglą-
daj nas.

To powiedziawszy, oddalił się.

Nazajutrz Sylwia wczesnym rankiem oświadczyła Staborowi, że w południe wybiera się do termu.

Tym razem, patrząc na pracę syna, nie zemdlała; wsparta na ramieniu Stabora, który strój patrycyusza miał na sobie, sama w najpiękniejszą szatę przybrana z Leną u boku zatrzymała się naprzeciw rusztowania, a Stabor objaśniać począł styl budowy i gatunki kamieni zebranych w pobliżu.

Dozorcy przypatrywali się bez podejrzeń wspa-
niałej matronie i urodziwemu, dziewczęciu, w Sta-
borze zaś żaden nie poznawał wczorajszego że-
braka.

Na rusztowanie począł wstępować młody ro-
botnik o dziwnie inteligentnej twarzy. Był obar-
czony aż dwoma wiadrami wapna, lecz niósł je z
zupełną swobodą.

Robotnik naraz przystanął, zapewne dla od-
poczynku, tak przynajmniej sądzili dozorca i nie
zajmowali się nim, on zaś skorzystał z tego, zwró-
cił spojrzenie na Sylwię, uśmiechnął się i wzrokiem
przesłał swym najdroższym powitanie.

Sylwia uściśnęła dłoń Stabora.

— Jakże on zeszczupłał! — szepnęła smutnem
głosem,

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZAGADKI.

Szarada.

Pierwsze drugie w Ameryce
Piękne ptaki barwy świetnej,
Trzecie wam w arytmetyce
Coś o liczbie mówi setnej.
Czwarte rzeka, co dopływa
Do fal Renu, z lewej strony.
Pierwszem czwartem zwykle bywa
Każdy paclerz zakończony,
Wszystek wódz, co to ze Spartą
Walczył i męstwem się wślawił,
Chociaż walką tą zażartą
Swej Mesenii już nie zbawił.
Jeśli o tem czasów dawnych
Bohaterze czytać chcecie,
To w „żywotach mężów sławnych”
Plutarchowych go znajdziecie.

ŁAMIGŁÓWKA.

*	Spółgłoska
* * *	Przymiotnik
* * *	Zabawa
* * * *	Miasto we Włoszech
* * * *	Nagłe światło
* * * *	Państwo w Europie
* * * * *	Imię żeńskie
* * * * *	Wnuk Helego
* * * * *	Fabryki piwa
* * * * *	Pol. mąż zashugi
* * * * *	Inaczej fajka
* * * * *	Miasto w Rosyi
* * * * *	Miasto w Polsce
* * * * *	Ptak brodzący
* * *	Roszlina
* * *	Owad
* * *	Imię żeńs. zdrob.
*	Samogłoska

Sylaby: O-é-ma-pro-be-płock-char-la-so-kas-ków-an-ka-ty
Sta-bro-a-bia-tar-wa-ry-szye-wa-ła-wac-ro-błysk-a-sy-Pad-bal-
wa-a-zły.

Rząd prostopadły, oznaczony gwiazdkami, daje imię i
nazwisko polskiego poety.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NR. 24.

Szarada; P A - L E - S T Y - N A.

Łamigłówka kratkowa:

Ż	a	g	i	e	l
t	Y	s	i	ą	c
t	u	R	k	u	s
T	o	m	A	s	z
ż	y	r	a	F	a
J	a	d	z	i	A

ŻYRAFA.

Dobre rozwiązania nadeszły: Klara i Jadzia Karno-
wskie.

Z NASZEJ KORESPONDENCYI.

Chicago, 15 czerwca 1907.

Szłam koło gaju zielonego, znalazłam kawałek papie-
ru białego, i przyszło mi na myśl, aby napisać do przyja-
ciela list, co też czynię.

Ucieszyłam się bardzo, gdy się dowiedziałam o wy-
cieczce Stanisławowskiej, i że Najprzew. O. Jenerał ma
przybyć i że ta wycieczka wypada w sam dzień imienin Np

Ojca Kasprzyckiego. Chciałabym i ja przybyć na tę wycieczkę, aby zobaczyć najróżn. P. W. Ojca Jenerała, a potem przyjrzeć się ogniom, ponieważ, jak czytałam na bielicie, to mają być one bardzo piękne, a ja lubię bardzo ognie i chciałabym też widzieć jak Macierzystki będą ubrane w krakowskie kostyummy. To jednak i w domu będę mogła widzieć, bo moja siostra jest także Macierzystką z 12 oddziału i będzie ubraną za krakowiankę.

Życzę też powodzeń, aby z wycieczki było dużo dochodu na nową szkołę św. St. K.

Przy niniejszem dołączam rozwiązanie zagadek, nie wiem, czy będą dobre.

Lubię bardzo Macierz Polską i z wielką ciekawością ją czytam, a z niecierpliwością oczekuję każdego nowego numeru. Historia o żabce bardzo mi się podobała i dziękuję panu Porabce za to, że takie piękne powiastki podaje w Macierzy Polskiej.

Z uszanowaniem

Klara Karnowska, ucz. ze szk. św. Jacka w Avondale.

Odpowiedzi.

Kl. Karn. w Av. Przyjacieli dziękuję za obydwa listy, które mi sprawiły wielką przyjemność. Nie mogły one być umieszczone w poprzednim numerze, bo Przyjacieli zapóźno je otrzymał. Przyjacieli sądził, że twoje życzenie się spełniło i byłeś na wycieczce, gdzie zapewne widziałeś i Najprz. O. Kasp., krakowianki, ognie i wiele byłych twoich szkolnych towarzyszek. Widać, że masz dobre serduszek, kiedy nie zapominasz o dawnej swojej szkole. Zachowuj zawsze tak wdzięczne serce. Pan Porabka ucieszy się, że jego powiastki podobają się małym czytelnikom, będzie on jeszcze więcej pisał, ale obecnie wyjechał na wakacje. Pisz częściej.

Sokołowi. Za wysoko lataasz, sokole, więc wszystko ci się wydaje małym. Zniż swój lot.

Panu M. K. w Chic. Pismo nasze przeznaczone jest dla dzieci, z tem się też liczymy; dla osób starszych są inne pisma. To, co dobrem jest dla osób starszych, niekoniecznie nadaje się dla dzieci, ale często bywa odwrotnie, a zdaje się, że tak jest w wypadku z panem. Z powiastek i pan i inni mogą korzystać. Listu nie umieścimy. Pomieszczamy tylko listy małych naszych czytelników i korespondentów. Co do nieregularności w otrzymywaniu M. P. prosimy zwrócić się do poczty, albo administracji M. P.



Macierz Polska w Stanach Zjednoczonych AMERYKI PÓŁNOCNEJ,

p.o. Najśw. Maryi Panny Królowej Korony Polskiej

Organizacja łącząca młodzież polską obojga płci w pracach naukowych, patriotycznych i bratniej pomocy dla podniesienia ducha moralności i dobrobytu w społeczeństwie a szczególnie między młodzieżą polską.

Założona dnia 1go października, 1897 roku.

Inkorporowana przez Stan Illinois, dnia 4go września, 1903 r

Obdarzona Błogosławieństwem Ojca św., Piusa X, dnia 30-go czerwca, 1906 r.

BIURO GENERALNE:

141-143 W. Division St.

Chicago, Illinois

ZARZĄD GŁÓWNY:

KS. FRANCISZEK GORDON, C. R., Moderator; JULIAN SZCZEPAŃSKI Prezes; AGNIESZKA NERING, I Wice-prezesa; MAKSYMILIAN BROCHOCKI, II Wice-prezes; WINCENTY J. JÓŹWIAKOWSKI Sekretarz Główny; WŁADYŚŁAW SZTANKA, Skarbnik; PAWEŁ P. KUCHARSKI, Dyrektor; JULIAN J. NEJMAN, Dyrektor; FELIKS AUGUSTYNOWICZ, Dyrektor; FRANCISZEK SIATKOWSKI, I Marszałek; JAN SZPEKOWSKI, II Marszałek.

KS. FELIKS ŁADOŃ, Redaktor; DR. BOLESŁAW KLARKOWSKI Lekarz Główny; LUDWIK JANKOWSKI, Dyrygent Muzyki i Śpiewu; TEOFIL GORDON, Asystent Sekretarza Głównego; IGNACY CIESIELSKI, Bibliotekarz i Zarządca Klubu; N. L. FIOTROWSKI Doradca Prawny.

Posiedzenia Zarządu Głównego odbywają się w 2gi wtorek miesiąca wieczorem.

Godziny ofisowe Sekretarza i Skarbnika Głównego w Biurze Generalnem:

W każdy poniedziałek i w każdy piątek od godziny 7-mej do 9-tej wieczorem.

Klub Macierzy Polskiej, dla członków organizacji otwarty co wieczór, od godziny 7-mej do 10-tej. W niedziele, od godziny 3-ciej popołudniu.

Do Macierzy Polskiej może należeć każdy Polak lub Polka religii rzymsko - katolickiej, liczący lub licząca mniej niż 45 lat wieku swego.

Nowe oddziały Macierzy Polskiej formować się mogą za porozumieniem się ze Zarządem Głównym Macierzy Polskiej. Osoby chcące się zająć organizowaniem nowego oddziału muszą otrzymać na to pisemne pozwolenie od Zarządu Głównego Macierzy Polskiej, który udzieli odpowiednich instrukcji, a po uformowaniu oddziału i załatwieniu formalności, wyda dyplom, na mocy którego oddział otrzyma prawa i przywileje organizacji.

Każdy nowo-wstępujący składa przed formalnem złożeniem przysięgi następujące opłaty: wstępne stosownie do wieku, za odznaki, za kwitaryusz, za konstytucję i podatek miesięczny regularny, za czas od chwili przyjęcia go na posiedzeniu przez głosowanie. Opłaty wstępne są następujące: do lat 15 nieskończonych 50c.; 16: 60c.; 17: 70c.; 18: 80c.; 19: 90c.; 20: \$1.00; 21: \$1.10; 22: \$1.20; 23: \$1.30; 24: \$1.30; 24: \$1.40; 25: \$1.50; 26: \$1.60; 27: \$1.70; 28: \$1.80; 29: \$1.90; 30: \$2.00; 31: \$2.20; 32: \$2.40; 33: \$2.60; 34: \$2.80; 35: \$3.00; 36: \$3.20; 37: \$3.40; 38: \$3.60; 39: \$3.80; 40: \$4.00; 41: \$4.40; 42: \$4.80; 43: \$5.20; 44: \$5.60; 45 nieskończonych: \$6.00.

Kwitaryusz 10c. Konstytucja 10c. Odznaki dla mężczyzn \$1.00. Odznaki dla pań \$1.25. Podatki: regularnie co miesiąc na fundusz obrotowy 10c., assessment regularny na pośmiertne co miesiąc 10 centów.

Assessment nadzwyczajny nakłada się stosownie do wypadków śmierci obliczając i rozkładając sumę wypłacić się mająca, na równi wydatku na pośmiertne, na każdego członka z doliczeniem jednego centa do każdego wypadku.

Oddziały podwładne mają prawo ustanawiać dla siebie wsparcie w chorobie i w tym celu ustanawiać dla siebie podatki.

W przypadku śmierci członka Macierzy Polska płaci spadkobiercom za każdy miesiąc przynależności członka do Macierzy Polskiej i opłacenie wazystkich podatków, sumę \$10.00, stopniując aż do wysokości \$50.00 biorąc jako podstawą w obliczaniu wysokości pośmiertnego opłacon assessmenta miesięcznego.

Podajcie Nowe Adresa.

Członkowie Macierzy Polskiej mają niezwłocznie uwiadomić Administrację Macierzy Polskiej o każdej zmianie swego adresu, inaczej nie będą otrzymywali "Macierzy" regularnie.

Zmianę adresu należy przelać na karcie pocztowej, podając dokładnie imię i nazwisko, stary adres i nowy, numer domu, ulicę i miasto, oraz dołączyć nazwisko Oddziału i numer swej książeczki podatkowej. Kartkę adresować:

MACIERZ POLSKA

141-143 W. Division St.

CHICAGO.

Poczta upomina się o nowe adresy następujących:

Oddział I.

- Nr. 59. W. Mikołajewski.
- Nr. 84. A. Modrzejewski.
- Nr. 113 Józ. Dolatowski. ,

Oddział II.

- Nr. 131. Fr. Bieszka.
- Nr. 124. Stan. Kuliński.

Oddział III.

- Nr. 5. Piotr Sentowski.
- Nr. 48. Jan Galiński
- Nr. 112 Józ. Krawiecki
- Nr. 135 F. Szymkowski

Oddział IV.

- Nr. 139. Stan. Lipiński.

Oddział V.

- Nr. 79. Józef Jelesiński.
- Nr. 80. Franciszek Gramza.
- Nr. 85 Paweł Dorsch.
- Nr. 94. Franciszek Ficht.
- Nr. 100. Józef Rządowski.
- Nr. 107. Józef Murawski.
- Nr. 134. Jan Łepeć.
- Nr. 141. Ignacy Grenwald.
- Nr. 151. Bolesław Roda.
- Nr. 166. Idzi Bartnik.
- Nr. 183. Franciszek Grzonkowski
- Nr. 184. Michał Polek.

Oddział VI.

- Nr. 132. L. Szarmański

Oddział VII.

- Nr. 23. Anast. Czepek
- Nr. 31. Winc. Młodzikowski.
- Nr. 101. Stef. Ceglarski

Oddział VIII.

- Nr. 51. Jan Fudema.
- Nr. 67. Michał Gadacz.
- Nr. 80. Wład. Michela

Nr. 95. Jan Wolff.

Nr. 99. Franc. Wolff.

Nr. 113. Roman Gadacz

Oddział IX.

- Nr. 10 Salomea Kiecal
- Nr. 145. Pelagia Janowiak
- Nr. 188 Anast. Pełkowska.
- Nr. 240. Helena Moza.

Oddział XII.

- Nr. 5. Franc. Brzozowska.
- Nr. 6. Stanisława Dryll.
- Nr. 14. Marya Kuzyusz.
- Nr. 131. Ewa Socka.
- Nr. 140. Marta Bieszka.
- Nr. 152. Agn. Guzikowska.
- Nr. 154. Stan. Tobaczka.
- Nr. 174. Weronika Dryll.
- Nr. 194. Franciszka Laska.
- Nr. 219. Kar. Kijeńska.
- Nr. 220 Antonina Gort.
- Nr. 146 Monika Szczepińska
- Nr. 143. K. Zawadzki.

Oddział XIV.

- Nr. 26. Fran. Skotnicki.
- Nr. 37 Józef Kunka,
- Nr. 44. J. Bakanowicz.
- Nr. 56. Ant. Jarzyna.
- Nr. 79. Józef Jakubek.
- Nr. 83. T. Gnaciński.
- Nr. 94. Jan Kabaciński.

Oddział XV.

- Nr. 79 Marya Przybek

Oddział XVIII.

- Nr. 33. Marya Konwińska

Oddział XIX.

- Nr. 7 Broniśł. Górniak
- Nr. 34 Edwarda Rickowska
- Nr. 43. Paulina Mroczek.
- Nr. 44 F. Rickowska.

Oddział XX.

- Nr. 16 Franc. Serba,
- Nr. 42 Marya Huntowska.
- Nr. 60 Franc. Santowska.
- Nr. 61 Pel. Kwiatkowska.
- Nr. 73. Marta Jażdżewska.
- Nr. 74. Marya Górską.
- Nr. 79 Marva Gackowska.

Urzędowe zawiadomienie.

Nadzwyczajny podatek na Pośmiertne.

Cyrkularz No. 26.

Na miesiąc Lipiec r. 1907 wynoszący 30 centów.

Donosimy niniejszem, że na miesiąc Lipiec, roku 1907, przypa-

da podatek nr. 26 na wszystkich członków i członkinie Macierzy Polskiej, przyjętych do dnia 1go Maja 1907 r., wynoszący trzydzieści centów, na pokrycie wypadku pośmiertnego: Nr. 40 ś.p. **Piotr Wałaszkiwicz** Oddz. 14, suma \$450.00.

Liczba członków i członkin o-podatkowanych 1576.

Zwracamy uwagę, że nadzwyczajny podatek na pośmiertne ma pierwszeństwo przed wszelkimi innymi podatkami i musi być nie zwłocznie skolektowany i wpłacony do Kasy Głównej.

Wszystkie podatki do Kasy Gł. w miesiącu Lipcu, 1907 r. razem wynosić będą 50 centów.

Z bratniem pozdrowieniem
Julian Szczepański, prezes.
Win. Józwiakowski, Sekretarz.
Chicago, dnia 12go czerwca 1907.

MARTA.

(Z powieści P. Orzeszkowej).

Marta Swiecka urodziła się w dworku szlacheckim niezbyt wspaniałym bogatym, ale ozdobnym i wygodnym.

Posiadłość ojca o kilka mil zaledwie od Warszawy położona składała się z kilku włók urodzajnej ziemi, z kwiecistej łąki, pięknego brzozowego gaju, który dostarczał opału w zimie i pończotnych przechadzek w lecie, z obszernego sadu pełnego drzew owocowych i ładnego domku z sześciu frontowymi oknami, wychodzącymi na okrągło wykrojony, gładką murawę zasłany dziedziniec; dom był z zielonymi żaluzjami, z gankiem na czterech słupach, na które pięły się fasole z pąsem i powoje o bujnych, lilijowych kielichach.

Nad kolebką Marty słowiki śpiewały i stare lipy poważnymi czołami powiewały, róże kwitły pszeniczne fale złota toczyły. Pochylała się też nad nią piękna twarz matki i gorącymi pocałunkami okrywała czarnowłosą główkę dziecięcia.

DZIENNIK CHICAGOSKI

NAJSTARSZE I
NAJPOPULARNIEJSZE DZIENNE
PISMO POLSKIE W AMERYCE.

WYCHODZI CODZIENNIE
z wyjątkiem niedziel i świąt,
o 8m1u wielkich stroncach.

Podaje dziennie wszystkie wiadomości telegraficzne z całego świata.

Na żądanie posyła trzy
egzemplarze na okaz.

Cena na prowincyi:

\$3.00 rocznie, \$1.50 na pół roku,
75c na kwartał, 25c na miesiąc.

W mieście Chicago:

45c miesięcznie.

U roznosicieli egzemplarz 1c.

Pieniądze można przysyłać przez
Money Order lub w jednocento-
wych znaczkach pocztowych.

Drukarnia

Dziennika Chicagoskiego

wykonuje wszelkie prace w zakres
drukarski wchodzące, szybko,
gustownie i tanio.

Księgarnia

Dziennika Chicagoskiego

ma na składzie książki wszelkiego
rodzaju.—Katalogi na żądanie.

Wszelkie zamówienia należy
przesyłać pod adresem:

The Polish Publishing Co.,
141-143 West Division Street,
CHICAGO.

"Gazeta Polska w Chicago"

najstarsze czasopismo polskie w Ameryce
założone w roku 1873.

PRENUMERATA ROCZNA \$2.

Najstarsza Księgarnia Polska w Ameryce

zaopatrzona w książki wszelkiego
rodzaju. — Katalogi wysyłamy
darmo na żądanie.

**Najstarsza i największa Intro-
ligatorka Polska w Ameryce,**
wykonuje wszelkie prace w za-
kres introligatorski wchodzące.

Po wszelkie szczegóły piszcie pod adresem

W. Dyniewicz,
532 Noble ul., Chicago, Ill.

Matka Marty była kobietą do-
brą i piękną; ojciec człowiekiem
ukształconym i także dobrym.
Jedynę dziecę rodziców tych
wzrastało wśród miłości ludzi,
pieszczoty i dóbr.

W szesnastym roku straciła
matkę; wskutek zmian ekono-
micznych w kraju, ojciec stracił
mienie; ale los Marty był zapew-
niony. Jan Swiecki pracowity i
zdolny urzędnik prosił o jej rękę,
a ojciec zabezpieczwszy los
jedynaczki, spokojnie spoczął w
grobie.

Jan Swiecki pracował sumien-
nie i umiejętnie, pobierał znacz-
ną płacę, dość znaczną, aby mógł
otoczyć kobietę, którą kochał
wszystkiem, do czego od kolebki
przywykła. Ale Jan Swiecki nie
był dość opatrzny, aby myśleć
o dalszej przyszłości, z najmniej-
szym choć uszczerbkiem dla po-
ry obecnej. Młody, silny pracow-
ity, liczył na młodość swą, siłę i
pracowitość myśląc, iż skarby
te nie wyczerpią się nigdy. Wy-
czerpały się jednak zbyt prędko.
Po pięcioletniem szczęściem po
życiu, umarł.

Marta pozostała bez żadnego
zasobu, sprzedała wszystkie
sprzęty, zebrała paręset złotych,
należała za nie izdebkę ubogą, ku-
piła córeczce mleka i bułkę, uspi-
ła ją cichym śpiewem a sama sta-
nęła przed oknem i rozmyślać
zaczęła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pytanie.

— Jaka jest różnica między słomą
a siano?

— Nie wiem.

— A ty głuptaku, to przecież każde
bydło wie.

Opowiadanie z podróży.

Jeden: Podczas mych podróży wi-
działem wieżę, której szczyt sięgał do
nieba.

Drugi: A ja widziałem wieżę tak
niską że jej wcale widać nie było.

Lecznica Krakowska,

576 Milwaukee ave., na piętrze.

Leczenie: Gorącem powietrzem, Wibracją, Elek-
tryką, Masażem, Gimnastyką, Hydroterapią,
Suggestyą, Kąpielami ziołowymi i mineralnymi.

Władysław Krupa,

Telefon: Polk 1030.

Właściciel Zakładu.

Spółka Młodzieży Polskiej

poleca Szanownej Publiczności

swój wielki SKŁAD OBUWIA

pod firmą

'The Grand Shoe Co.'

865 Milwaukee ave.,

pomiędzy Division i Ashland ul.

W tym składzie sprzedaje się trze-
wki modne i trwałe dla mężczyzn,
dam, młodzieży i dzieci po cenach
umiarowanych.



JÓZEF KORZENIEWSKI,

**Przedsiębiorca pogrzebowy
i balsamator.**

Wypożycza powozy na pogrzeby, chrziny, itp.

318 N. Carpenter ulica.

Telefon Monroe 945.

— Otwarte w dzień i w noc. —

Fotografie!

Wykonujemy w naj-
nowszym stylu i naj-
modniejszych po-
zytywach. Ślubne fotogra-
fie wykonujemy z wielką akuracją; nawet
w dni pochmurne i deszczowe wykonujemy foto-
grafie pod gwarancją. Jedyna galeria, która po-
siada światło Rembleta. Ceny zniżone dla grup,
towarzystw i dzieci.

Extra dla nowożeńców!

Dajemy jako prezent piękny portret
wielkości 16x20.

St. Adamkiewicz & Co.,

właściciele zakładu fotograficznego

AMERICAN PHOTO ART STUDIO,

685 Milwaukee Avenue,

— pomiędzy Augusta i Noble ulicami. —

FRANK KLAJDA

Ciesla. Budowniczy i Kontraktor.

Wykonuje wszelkie roboty szybko,
starannie i po bardzo niskich cenach.

595 Dickson ul.

Tel. Polk 225

OGŁASZAJCIE SIĘ
w „MACIERZY POLSKIEJ”.

NAGRODY

— dla —

Członków i Członkiń
pracujących nad
powiększeniem szere-
gów Macierzy Polskiej.

Nagroda I-sza:

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Dla pań i dla mężczyzn.)

Ten wspaniały szczerzoty medal, do noszenia na piersi lub też jako broszka, z pięknie rytowanym napisem "Hołd zasłudze" na przodzie, a nazwiskiem odznaczonej lub odznaczonego na odwrotnej stronie. Ozdobna pamiątka na całe życie, którą każdy z dumą nosić będzie.

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Wyłącznie dla mężczyzn).

Ten elegancki, szczerzoty

medal z naszym godłem, w formie bryloka do zegarka, z nazwiskiem odznaczonego rytowanym na odwrotnej stronie. — Rzecz piękna, cenna i trwała, która każdemu się spodoba.

Nagroda II-ga:

Za 5 nowych członków lub członkiń.



Śliczny, szczerzoty oznak honorowy dla wszystkich członków, do noszenia na piersi, na klapie surduta, lub jako broszka, zawsze i wszędzie.

Nagroda III-cia:

50 centów

Za każdego nowego członka lub nową członkinię Macierzy Polskiej.

Kto już ma oznak honorowy lub też złoty medal, albo woli gotówkę raczej niż pamiątki, ten lub ta mogą zarobić sobie 50 centów za każdego członka wprowadzonego do Macierzy Polskiej.

Po najlepsze szczerzo - złote ślubne obrączki idźcie do jedynego polskiego składu zegarmistrzowskiego na Milwaukee ave.—do

M. Wojteckiego,

677 Milwaukee ave.

Telefon Monroe 1298.

JEŻELI CHCECIE

kupić lub sprzedać property, grunt lub farmę, albo pożyczyć pieniędzy na budowę lub zakupno, to zgł.ście się do nas my wam najlepiej służy

A. J. Kowalski & Sons,

625 Noble ul., Chicago.

JAN KOWALSKI,

agent ubezpieczenia od ognia członków Fire Underwriters Association.

Asekurujemy od ognia w najlepszych kompaniach. Wyrabiamy wszelkie papiery legalne.

Artystyczne Głównianie i Dekorowanie Freskiem i Tapetami

MAX BROCHOCKI,
Malarz i Dekorator.

Wykonuje wszelkie roboty w zakresie malarskim wchodzące.

595 Holt Ave., - CHICAGO.

Pierwszy Polski Zakład

INTROLIGATORSKI,

812-14 MILWAUKEE AV., róg HADDON,
CHICAGO, ILL.

podejmuje wszelkie oprawy książek, to jest nakłady całe lub pojedyncze, jako to: książki biblioteczne, do nabożeństwa, nauki, książki szkolne i t.d. po cenach umiarkowanych. Każda robota wykonana w naszej pracowni będzie gustowna i trwała, za co ręczymy naszym klientom.

OLSZOWY I SPÓŁKA,

812-814 Milwaukee Ave.
CHICAGO, ILL.

N. L. PIOTROWSKI

ADWOKAT.

Praktykuje we wszystkich sądach.

Ofis: 59 Clark ul., róg Randolph

Półkój 807, 8cie piętro. Tel. Central 608.

Wieczorem 605 Noble ul. Tel. Monroe 2427

Miesz. 80 Humboldt Blvd. Tel. Humboldt 1844

Ogłaszajcie się w
Macierzy Polskiej.

**WEST
SIDERS
BE
WISE**

Why pay big prices to build Tunnels and Sky-scrapers? You can save money and improve the West Side by Buying at Home. Get the Union Label. Good Clothes.

THE ARMITAGE

Milwaukee & Armitage Aves.